

KAMILA GOSZCZYŃSKA

KWIAT DATURY



TOM I

ISKRA

KAMILA GOSZCZYŃSKA

KWIAT DATURY



TOM 1



ISKRA

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl

Skład DTP i przygotowanie e-booków: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl

Korekta: Anna Hat, Natalia Kocot – Zyszczyk.pl

Projekt okładki i mapy: Karolina Pietrzykowska

Copyright © Kamila Goszczyńska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-962436-1-4

Profile autorskie w sieci:

Facebook: [Kamila Goszczyńska - pisarka](https://www.facebook.com/KamilaGoszczyńska-pisarka)

Instagram: [@kamilagoszczynskapisarka](https://www.instagram.com/kamilagoszczynskapisarka)

WERELDA



MORZE CIENISTE

WELWECJA

WARD

LAFRENGJA

MIDDEL

DOLINA
DOMERTH

LEATHIEN

FEBSTE

RUNDEN

RZĘKA DERE

LEFE

GONEN

ZONTIA

JERFU

KAMIENNE
MIASTO

PRZEŁĘCZ
KRAKT

OMRU-TACHEL

GÓRY CZERWONE

PRZEŁĘCZ
GARDIA

GÓRY CICHE

REGNIA

ANTIS

TEADWEN

KROLE
UJENA

GÓRY
WAŚATE

KROLE
WOBERY

KORIEN

TURNIA

UTRANTA

Antała

Las zaszumiał od gwałtownego porywu wiatru i zamarł. Zrobiło się bardzo cicho. Dziwnie cicho, jak na tę porę dnia. Ptaki, które przed chwilą dokazywały w wysokich gałęziach starego boru, umilkły. Brzęczące na dopiero co miniętej polanie pszczoły nagle zniknęły. Poruszone przed momentem liście znieruchomiały. Niebo poszarzało. Powietrze stężało od strachu.

Amber przystanęła. Wzięła głęboki oddech i zadarła głowę. Wiedziała, co zobaczy, choć bardzo nie chciała tego zobaczyć. Błękit zasnuły ciemne, ciężkie chmury koloru ołowiu. Wiedziała, co oznaczają. Obserwowała nieraz takie metaliczne niebo. Najpierw pojawiały się chmury, złowrogie, wieszczące pożogę i klęskę, niosące lęk i beznadzieję, chwilę później nadjeżdżali Jeźdźcy zwiastujący nieuchronną śmierć. Widziała kilka razy to, co po sobie zostawiali. Zastygłe z przerażenia twarze, ciała straszące kikutami po obciętych kończynach, wywleczone wnętrzości, zmiażdżone kości – a nader straszne były oczy zabitych, którzy pogodzili się już ze swoim losem, lecz których twarze wyrażały zdziwienie, że cios odbiera im życie tak szybko.

Amber pamiętała również własny strach małej dziewczynki, którą dobrzy ludzie tuż przed atakiem wepchnęli do starego kufra

na bieliznę. Słyszając szcęk mieczy, okrzyki żołnierzy i niewyraźne jęki z dławiących się krwią gardeł, zagryzała wargi do krwi, by nie krzyczeć za tych wszystkich umierających. Czuła niemal ich śmierć i modliła się, by jej bliscy byli gdzie indziej albo jeszcze lepiej z nią, w tym małym kufrze ze świeżo wykrochmalonymi koszulami. Ale najbardziej dygotała na myśl o tym, że kiedyś trzeba będzie otworzyć wieko tegoż kufra i spojrzeć makabrycznej prawdzie dosłownie w oczy. Ten strach budził ją już dorosłą w środku nocy z koszmarów, a że bać się nienawidziła, usiłowała na nowo przypominać sobie wszystkie szczegóły z tamtego dnia, by ten strach oswoić. Z czasem koszmary pojawiały się coraz rzadziej, pewnie również dlatego, że los zastąpił je innymi...

Teraz złowroga chmura ciągnęła w stronę wsi, niosąc nieuniknione. Amber wytężyła słuch, ale nie usłyszała jeszcze stukotu kopyt. *Może zdążyć* – pomyślała. *Gdyby mi nie padł koń, pewnie bym już tam była.*

Gniada kobyłka od pierwszego właściciela otrzymała tylko trochę owsa, ciężki bata oraz imię Mia. Amber kupiła ją w mieście Teadwen za grosze po tym, jak skradziono jej wałacha. Sprzedawca nawet się nie targował, najwyraźniej upatrując w szybkiej transakcji kilka kufelków dobrze schłodzonego piwa w karczmie o wymownej nazwie Pod Zakutym Łbem. Nie omieszkał jednak przed oddaniem wodzy przyłożyć klaczy witką i zakląć, czyniąc uwagę o jej charakterze, jakże podobnym do niedawno zmarłej teściowej. Amber polubiła Mię i jeszcze tego samego dnia wesoło kłusowały główną ulicą miasta, czyniąc poruszenie wśród miejscowych plotkarek, które musiały uskoczyć przed dziewczyną jadącą na uradowanym wolności zwierzęciu.

Teadwen, mimo swej elfiej przeszłości, było teraz typowym ludzkim siedliskiem, z karczmą ze chrzczonego piwem, nigdy

niesprzątanym rynkiem, ze słynnym na całą okolicę burdelem, z jeszcze słynniejszym cyrkiem – często z podobnych przyczyn co poprzedni przybytek – oraz corocznym festynem z okazji Dnia Młodości, wymyślonym na cześć bogini Artele przez tutejszych bardów. Tego dnia zjeżdżali się tu poeci i śpiewacy z całego kraju, by przy wszelakich uciechach cielesnych czerpać natchnienie do swych uduchowionych ballad i pieśni. Był to też dzień ułaskawień, burmistrz Ochten miał bowiem prawo raz do roku wypuścić jednego złoczyńcę, o ile tenże dobrze się sprawował w więzieniu lub sownicie opłacił kogo trzeba. Przyjeżdżali wtedy też kupcy z różnych krain z przeróżnymi towarami – od maści na potencję, przez wielobarwną biżuterię z kamieni i drewna, po broń międzynarodowego pochodzenia.

Amber przybyła jednak do Teadwen wiosną, kilka tygodni przed Dniem Młodości, więc tylko obiecała sobie kiedyś przyjechać tu w odpowiednim terminie. Wiosna pachniała w tym miejscu słodyczą pierwszych kwiatów na jabłoniach, proszkiem do prania na kałesonach i majtkach bezwstydnie wywieszonych na balkonach oraz rozkwitającym rysztokiem w co poniektórych uliczkach bez przewiewu. Tak, bez wątpienia było to teraz miasto ludzkie.

Zanim Amber i Mia wyruszyły w drogę, klacz dostała nowe siodło i porządny worek obroku. Po trzech dniach popasania opuściły Teadwen, wybudowane przez elfy setki lat temu i nazywane Miastem Czterech Wież, choć na murach obronnych tej kwadratowej osady zachowały się tylko dwie, i to zrujnowane.

Dziewczyna i klacz były nierozłączne aż do przełęczy Gardia. Jechały dobrych parę dni w kierunku Gór Cichych. Zapadał już wieczór, gdy czułe elfie ucho wyłowiło poruszenie w zaroślach. Mia usłyszała to po chwili i dopiero wtedy zastrzygła uszami

i parsknęła. Amber chwyciła za miecz i przygotowała się, nie zsiadając z konia. Zorientowawszy się, że element zaskoczenia nie zadziała, zza krzaków wychynęli trzej mężczyźni. Twarze mieli ogorzałe od przepicia, ale bary – szerokie, a oczy – szukające zaczepki do bijatyki. Pierwszy wyszedł chłop z toporkiem, który nie pozostawiał złudzeń dotyczących intencji jego właściciela. By jednak dać lepsze poparcie swym zamiarom, mężczyzna splunął trzy razy na pobliską kosodrzewinę, jej również okazując pogardę i chęć bitki, jakby co. Drugi również był barczysty, ale niższy i krościaty, z łukiem przewieszonym przez plecy i chyba z najbardziej inteligentnym wyrazem twarzy z całej bandy, mimo wszystko. Trzeci zaś, oczywiście oprócz tego, że był barczysty, był chyba jeszcze – albo już – pijany, bo miał mętny wzrok i chwiaił się lekko na nogach.

– Kogóż my tu mamy? – zapytał ten inteligentny, spoglądając chytrze na Amber. – Panienska się zgubiła?

– A może panience pomóc? – zaproponował ten z toporkiem. – Jest nas trzech, więc pomoc będzie, że ho, ho!

Amber zacisnęła zęby i machnęła w powietrzu swoim pięknym mieczem elfiej roboty. Wykuły go Elfy Wysokie z Gór Czerwonych, ale ze stali z dobrze jej znanych kopalni w Górach Cichych. Zdarzyło jej się odwiedzać te kopalnie razem z ojcem, gdyż w jednej z nich pracował jego przyjaciel, krasnolud Dundel. Jako podłotek chętnie tam jeździła, zawsze dowiadywała się czegoś ciekawego i nader wszystko lubiła, gdy Dundel opowiadał o duchach kopalni. Krasnolud robił też sam wino z głogu, które mogłoby konkurować z niejednym firmowym i słynnym. Ten trunek nie działał na nią zbyt mocno, ale lubiła czuć przy dziesiątej szklanicy to charakterystyczne mrowienie w palcach. I słodki smak bułeczek wypiekanych przez małomówną żonę krasnoluda, Lukrecję.

Pamiętała tyle niezwykłych rzeczy z tego małego domku w Górach Cichych, ale dopiero później zdała sobie sprawę, że najbardziej niezwykłą rzeczą stanowił fakt jej znalezienia się w tym miejscu. Po wszechnie było bowiem wiadomo, że krasnoludy i elfy darzą się odwieczną antypatią, z powodów tyleż prawdopodobnych, co wymaganych, a niechęć tak się zakorzeniła w umysłach jednych i drugich, że iście tylko cud mógł złączyć przyjaźnią losy dumnego elfa i rubasznego krasnoluda. Prawda jest taka, że rubaszny Dundel uratował kiedyś życie dumnemu Ithielowi, wynosząc go rannego z pola bitwy o Middel, gdzie naprzeciw siebie w zamierzchłych czasach stanęły wojska ludzi i nie ludzi. Dumny Ithiel po wyjściu z gorączki od rany ciętej, którą otrzymał w nogę od jakiegoś zapalczywego młodziaka, i po bliższym zapoznaniu się z krasnoludem zauważył, że wcale nie jest on taki rubaszny, a i Dundel dostrzegł wiele zalet u elfa. Tak zawiązała się wieloletnia, nietypowa przyjaźń. A skończyła się dopiero śmiercią Dundla i jego żony, gdy na kopalnię w Górach Cichych napadli Czarni Jeźdźcy. Ithiel widział z oddali ciemną chmurę, ale gdy przybył do wioski górników, zastał porzrzucone ciała po istnej rzezi. Nikt nie przeżył. Pochował więc zwłoki przyjaciół oraz przyjaciół tych przyjaciół, jak nakazywał zwyczaj krasnoludów – usypawszy kurhan. Do Leathien, królestwa dumnych elfów, wrócił po tygodniu, odmieniony i mało rozmowny. Co poprzysiągł, stojąc ze spuszczoną głową nad krasnoludzkim kurhanem i bezgłośnie poruszając spierzchłymi od wzruszenia wargami, na zawsze pozostało tajemnicą...

Amber spojrzała na swój piękny miecz i zobaczyła odbijające się w klindze czerwone zachodzące słońce. *Nie będę się biła z ludźmi* – pomyślała.

– Dobrze wam radzę: odejdźcie, jeśli wam życie miłe – wycedziła przez zęby.

– Panienko, jak będziesz taka niemiła, to cię od razu zaszlachtujemy i bez przyjemności się obędzie – odezwał się ten inteligentny.

– Powtarzam wam. Spieszę się, nie mam czasu ani na wasze przyjemności, ani na wasze szlachtowanie. Odejdźcie.

Ale najwyraźniej odejść nie chcieli, gdyż ten z toporkiem się zamachnął, celując pewnie w nogę elfki. Zdziwił się, gdy cios został błyskawicznie i bezbłędnie sparowany. Amber nie zwlekała, wykorzystawszy zdumienie napastnika i uderzyła go w ramię. Opryszek zawył z bólu, a wtedy podbiegł ten chybotliwy i zaatakował całkiem zwinnie. Elfka cięła go przez głowę, rozplątując czaszkę. Krew siknęła jak z fontanny. Dwaj pozostali wrzasnęli, bo zmiarkowali, że panienska nie będzie łatwym kąskiem, i obaj się na nią rzucili, próbując ściągnąć ją z konia. Kopnęła pierwszego w świeżą i broczącą ranę na ramieniu, aż się złamał w pół, ale drugi chwycił ją za nogę i zaczął ciągnąć uparcie. Amber szamotała się z nim przez moment, a wtedy pierwszy dołączył do niego i razem zwalili ją z siodła. Upadła na kamienistą drogę, tłukąc sobie co nieco, ale natychmiast podniosła się sprężysto, nie wypuszczając oręża z dłoni.

– Śmierć kompana was nie zniechęciła? – krzyknęła. – Za dużo czasu tu z wami zmitrężyłam, łachudry. Widać nie warto wam dupy ratować!

Błyskawicznie cięła rannego w drugie ramię. Dopiero po chwili zauważył, że rana jest bardzo głęboka i ręka wisi tylko na kawałku skóry. Zawył, a wtedy spadł na niego ostateczny cios na ukos, przez klatkę piersiową. Nie miał na sobie kolczugi, więc wystarczyło lekkie pchnięcie, by upadł i zmarł.

Inteligentny towarzysz nie okazał się inteligentny przy bliższym poznaniu, gdyż zamiast uciekać, postanowił strugać bohatera. Amber była już mocno rozwścieczona, zrobiła więc piruet i cięła go z półobrotu, nim zdążył w ogóle ułożyć sobie miecz

w dłoni. Padł twarzą na drogę ku Góróm Cichym, kwicząc tak przeraźliwie i głośno, że gdy Mia usłyszała ten dźwięk, najpewniej przypominający jej poprzedniego pana upojonego alkoholem, zarżała i ruszyła z kopyta razem ze swoim nowym siodłem i prowiantem Amber.

Elfka zakłęta i schowała miecz do pochwy. Zabrała też trupowi wcale ładny i porządny łuk, pewnie zdarty z innego podróżnego, a toporek zatknęła sobie za pas. *Nigdy nie wiadomo, co mi przyjdzie rąbać* – pomyślała. Wytarła swój miecz o liście krzaku, do niedawna kryjówki napalonych i pomocnych opryszków, i poszła szukać Mii. Była przekonana, że do zmierzchu ją znajdzie i uspokoi, ale nie znalazła jej ani przed tym zmierzchem, ani przed następnym.

Trzeciego dnia znalazła to, co z kłaczy zostało: zaczynające gnić, mocno poszarpane truchło i rozrzucone resztki torby z suszonym mięsem. Podeszła bliżej i obejrzała ślady dookoła. *Wilki* – westchnęła i z żalostí popatrzyła na ścierwo kłaczy. *Tak się bała ludzi, że poszła między wilki* – pomyślała i uśmiechnęła się smutno. *Ileż to istot podzielito jej los.* Dalej podążyła piechotą.

Jeszcze raz spojrzała na kłębiące się nad lasem chmury. Poprawiła miecz na plecach. *Tak, gdyby Mia była ze mną, miałabym jakieś szanse.* Ruszyła biegiem, niemal bezszelestnie dotykając stopami ściółki. Ani jeden ptak nie śmiał się odezwać w zaroślach. Ani jeden liść nie drgnął.

Biegła tak dobrą chwilę, aż nagle wydało się jej, że słyszy krzyk. Przystanąła, by złowić jakiś inny dźwięk, ale krzyk się nie powtórzył. *Jeśli Jeźdźcy nadal tam są i wpadną w środek walki, jakie mam szanse sama? To wieśniacy, nie umieją się bronić. To istne szaleństwo.* Westchnęła głęboko. *Ale on na pewno wierzy, że przyjdę. Nie mogę go zawieść. Nie mogę.* Przyspieszyła kroku. Głupio jej się zrobiło,

że pomyślała o sobie zamiast o tych, dla których stanowi teraz może jedyną nadzieję. Biegła tak prędko, że mijane drzewa były tylko zamazanymi kształtami, i w końcu wypadła na małą polanę. Naprzeciwko, u stóp brzoźowego zagajnika, zaczynała się droga do wsi Runden.

Amber przystanęła, by ocenić sytuację, nasłuchując, a wtedy niespodziewanie oślepiło ją słońce. Wyjrzało niepewnie zza ustępującej ciemnej chmury. Promienie oświetliły jej jasne włosy, mocno potargane po karkołomnym pędzie, i wytarty od podróży męski strój, ale nader wyraźnie roziskrzyły łyzy na jej policzku. *Nie zdążyłam* – pomyślała.

Czuła, że Jeźdźcy odjechali, lecz zachowała ostrożność. Podkraśniała się pod sam brzeg zagajnika i wyjrzała. Jej drżące serce zamarło. Trupy. Wszędzie trupy. Kikuty. Flaki. Przerażone twarze. I płonące chaty. Wyszła na główną uliczkę we wsi, teraz nie tylko mokną od padających ostatnio deszczy, ale i przesiąkniętą ludzką krwią. Stała się nie patrzeć, nie widzieć obrazów z dzieciństwa. Od kiedy zaczęła się wojna, Amber widziała wiele trupów i w różnych konfiguracjach, ale niedawna obecność Jeźdźców nie dawała jej spokoju.

Zmierzała szybko w kierunku chatki pod lasem. Kiedy ją ujrziała, poczuła nadzieję. Budynek jako jedyny w całej wsi nie płonął. *Robią się niedokładni* – pomyślała. *I się spieszą*. Gdy zbliżyła się do chatki, oceniła ze zdziwieniem, że Jeźdźcy do niej nie dotarli. Nie znalazła śladów walki ani odcisków ciężkich, wojskowych butów na rozmiękczonej podwórzu. Drzwi były jednak zamknięte. Zastukała, ale nie doczekała się odpowiedzi, więc krzyknęła:

– To ja, Amber! Otwórzcie!

Cisza.

Coś się tu jednak stało – pomyślała i jęła krzyczeć gorliwiej:

– Nimsenie, otwórz!

Nagle usłyszała coś z podwórka za plecami. To coś wychynęło zza żurawia. Miało niewielki wzrost, podarte ubranie i umorusaną buzię, ale niewątpliwie było ludzkim dzieckiem. Zdradziwszy swoją kryjówkę, nieco się przelęknęło.

– Hej – zawołała Amber. – Co ty tam robisz? Chodź no tu.

Dzieciak co prawda wylaź już cały zza żurawia, ale na zaproszenie kiwnął przecząco głową.

– Chodź, Jeźdźcy już pojechali – uspokoiła go, ale dzieciak pozostał nieufny i dla potwierdzenia słów nieznajomej rozejrzał się dookoła. – No podejdź tutaj.

– Dziadunio mówi, że nie wolno ufać obcym – odezwał się wreszcie.

– Ja nie jestem obca. Mieszkałam tu kiedyś.

– Akurat. Dziadunio mówi, że teraz po gościńcach pełno obcych, to ty też na pewno jesteś obca.

– Nie jestem obca – powtórzyła trochę już zirytowana tą rezerwową konwersacją.

– To czemu tak wrzeszczysz?

Poczuła się dziwnie. *Thumaczyć smarkaczowi, że przybyłam tu z samego Teadwen, brnąc przez śniegi przelęczy Gardia, ubijając napalonych dupków uwłaczających ludzkiej godności, wachając truchło jedynej towarzyszkę – klaczy rozszarpanej przez wilki – odparzając sobie i mocno raniąc stopy w biegu przez Niedźwiedzią Puszcze, by ratować najważniejszego człowieka w moim całym elfim życiu, i że krzyczę, bo go pewnie ten skurwysyński oddział sadystów na koniach pokrajał gdzieś za chatą?*

– Wołam kogoś – odparła krótko.

– A kogo? – Chłopczyk nie ustępował.

Wkurza mnie – pomyślała. A nic ci do tego, smarkaczu.

– Nimsena. – Opanowała się.

– Dziadunia Nimsena? – Ożywił się.

Spojrzała na niego pytająco.

– To niepotrzebnie wrzeszczysz, bo dziadunia w chacie nie ma.

– Zaraz, zaraz. Ty znasz Nimsena?

– Ojej, no przecie mówię, że to mój dziadunio i że go w chacie...

– Tak, słyszałam: nie ma. To gdzie jest?

Chłopczyk spojrzał na nią krzywo.

– Eee, no...

Doskoczyła do niego w dwóch susach. Chwyciła go mocno za ramiona i nim wstrząsnęła.

– Mów wszystko, co wiesz. Natychmiast!

– No... – Dziecko zaczęło się jąkać. – No bo przyjechali skrzydlaci... znaczy się ci na koniach. Ja żem wtedy z mamą siedział przed domem, bo karę miałem za to, że z Emkiem chcieliśmy utopić żaby w stawie, tylko że one się wyslizgiwały, i... i miałem z mamą ziemniaki obierać za karę. Aż tu ci na koniach i jak mama zobaczyła, to w krzyk... a mama to krzyczeć potrafi, ty to nic...

– Proszę cię, do rzeczy.

– No i mama mnie hyc! do kufra. Mamy taki stary kufer, co to babcia w nim kiedyś takie wkrochocholone ubrania trzymała. I żem wlaźł do kufra. Siedział żem tam chyba trzy kwadranse i krzyki były, i konie rżały, i... i mama chyba płakała, tak się zanosiła, jakby czkawkę miała, a potem westchnęła bardzo głośno, jakby ziewała czy co, i ucichło. Jużem myślał, że to koniec, gdy mnie tata znalazł. Ręce miał we krwi i jakoś tak dziwnie mówił, że jakiegoś maga mają ze sobą i że czary czyni, i żebym biegł co sił w nogach do tego stawu, com żaby próbował topić w nim. Wybiegłem drzwiami od ogródka i jak już byłem przy płocie, usłyszałem huk, oj, strasznutki. Jak żem się odwrócił, nasz dom w ogniu stał, a przed nim ktoś w długiej szacie machał dziwnie rękyma.

– Rękoma – poprawiła odruchowo. – A co z dziaduniem?

– No nic, co ma być? Od dwóch dni uczy Pitka, znaczy się brata mojego, polować w lesie. I siedzą...

– ...w chatce Antałce – dokończyła, patrząc daleko w przestrzeń przed sobą. – A skąd tyś się wziął na tym podwórku, skoro ci tata kazał nad staw uciekać?

– Jak ucichło... to wszystko jak ucichło, mamę i tatę znaleźć chciałem, no i siostrzyczka w łóżeczku leżała, bo ona, wiesz, chodzić jeszcze nie umi.

– Umie. – Amber znów poprawiła chłopca.

– Nie, nie umi. Bo rok skończy na jesień. Wziąć ją chciałem... – Nagle zamilkł. – Pójdziesz ze mną?

– Dokąd?

– Do domu. Do mamy i taty, i małej. Mamy fajnego psa, zobaczysz. Tylko przy nim nie krzycz, bo cię ugryzie.

Nie lubiła takich sytuacji. Nigdy nie wiedziała, jak rozmawiać z dziećmi, a te ludzkie były najtrudniejszymi przeciwnikami. Często zadawały niewygodne pytania, nigdy nie krępowało ich, że czegoś nie wiedzą, i zawsze miały naiwną nadzieję, że świat nigdy się nie zmieni, że po burzy wychodzi słońce i tak dalej. Z elfimi dziećmi szło nieco łatwiej. Były ciche, pełne namysłu, a jeśli czegoś nie wiedziały – nie pytały, bo czuły, że prędzej czy później same się tego dowiedzą. Cóż, miały przeznaczonych o wiele więcej lat życia niż ludzie, którzy ze wszystkim musieli się spieszyć.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć małemu, szukającemu u niej pomocy chłopcu, więc kiwnęła głową na znak, że się zgadza.

– Prowadź – poprosiła.

Szli w milczeniu. Kiedy ujrzeli pierwsze trupy w kałużach już zakrzepłej krwi, mały niespodziewanie złapał ją za rękę i nie puścił, dopóki nie dotarli do zgliszcz chaty, która była prawdopodobnie

jego domem. Puścił jej rękę i podbiegł do zwalonych drzwi, za którymi majaczyły w głębi zwęglone przedmioty. Zatrzymał się jak wryty i przypatrywał tym drzwiom bardzo długo, a Amber mu na to pozwoliła, gdyż wiedziała, że właśnie odbierał srogą lekcję życia. W końcu przerwała ciszę.

– Zaczekaj tu – powiedziała, a sama ostrożnie przekroczyła próg.

Wnętrze groziło zawaleniem, więc stawiała kroki powoli i ostrożnie. Gdzieś tam tliła się jeszcze jakaś belka, ale wyglądało na to, że pożar szalał tu wiele godzin temu. Na pierwszego trupa natknęła się od razu. *Kawał chłopca* – pomyślała. W ręce trzymał miecz, zwykły, prosty miecz, którym pewnie niewiele zdążył zdziałać. W kącie leżały zwłoki kobiety, sądząc po sukni i pozycji z rozłożonymi nogami. Była chyba przywiązana. *Spieszyli się, ale na uciechę czas znaleźli, skurwysyny* – skonkludowała. Z nadzieją zaczęła szukać kołyski. *Może chociaż ona, może ktoś ją wyniósł*. W końcu znalazła łóżeczko z ozdobami ze stali, które ocalały z pożogi. W środku leżało coś, co bez wątplenia jeszcze rano było wesoło gaworzącym niemowlęciem. *Naiwna, ludzka nadzieja* – zrugła samą siebie i wyszła.

Na schodach czekał na nią chłopiec, wpatrzony w nią teraz jak w boginię wieści. Chłopiec przestraszony, chłopiec, który ocalał w kufrze na ubrania.

– Nie ma tam twojej rodziny – powiedziała zmienionym głosem. – Wszyscy odpłynęli.

I wtedy maluch zrobił rzecz zaskakującą. Podbiegł do Amber, mocno się do niej przytulił i rozpłakał. Pozwoliła mu na to, bo łzy oczyszczają, dają równoważną siłę, pozwalają się przebudzić. Gdy zaczęło zmierzchać, przytuliła jeszcze raz mocno chłopca i zapytała:

– Jak ci na imię?

– Roni.

- Chodźmy więc, Roni, znaleźć dziadka Nimsena.
- Ale robi się ciemno – zachlipał Roni.
- Nie szkodzi, trafię tam nawet w ciemnościach.



Chatka Antałka stała na przepięknej polanie, na której cały rok zbierała się zwierzyna. Wiosną walczyły tam o samice dorodne byki jeleni, latem łanie snuły się leniwie z młodymi, jesienią całe stada wyjadały stąd ostatnie zielone korzonki, a zimą jelenie i sarny przychodziły do ustawionego tu paśnika. Przeróżne odmiany kwiatów pachniały całe lato, a nad nimi unosiła się cała armia pszczoł, trzmieli i wszelakiej barwy motyli. Chatkę zbudował dziadek Nimsena, Nomin, a ponieważ nie stronił od alkoholu i wszystko kojarzyło mu się z miodem pitnym, toteż i chatkę, bądź co bądź trochę pękata, ochrzcił Antałką. Nimsen spędzał tu niemal całe lato, a ponoć na stare lata zamieszkał w niej na stałe, stroniąc od ludzi i tęskniąc za przeszłością i swoją ukochaną żoną Lindą, zamordowaną przez Jeźdźców tego dnia, który Amber pamiętała z wnętrza kufra.

Amber uwielbiała przychodzić tu z Nimsenem jako dziecko. Miała bystre oczy, czuły węch i wyjątkowo celnie strzelała z łuku, jak na swoje siedem lat. Zawsze zadziwiała tym Nimsena i dopiero gdy odgarniała złociste włosy za spiczaste ucho, przypominało mu się, że to przecież nie było ludzkie dziecko. Czuł wtedy strach przed koniecznością oddania jej któregoś dnia jakiejś, jak to sobie wtedy imaginował, bandzie elfów. Traktował ją jak córkę. On i Linda pokochali ją od pierwszej chwili, gdy wyciągnęła do nich rączki, znaleziona w lesie, zziębnięta, ale spokojna i wpatrująca się w nich mądrymi, niebieskimi oczami. To było niezwykle

dziecko – od razu stało się to jasne. Uczyła się szybko, każde jej słowo było przemyślane, a w zabawach z przybranym rodzeństwem wykazywała się cierpliwością i wyrozumiałością ponad swój wiek. Stanowili szczęśliwą rodzinę aż do dnia, kiedy nad wieś Runden pierwszy raz nadciągnęły sine chmury.

Linda i Nimsen mieli troje własnych dzieci – córkę Tonię i dwóch synów: Ledgena i Stosena. Tamtego dnia Nimsen poszedł z samego rana z synami łowić ryby. Linda z córkami piekła ciasto. Kiedy do wsi wjechali Jeźdźcy, ta ukryła Amber w kufrze, a Tonię – w schowku na ziemniaki. Sama zaś udawała, że tylko ona jest w domu, chowając pozostałe łyżki i miseczki. Jeźdźcy zmasakrowali ją i jej kuzyna, który przyszedł jej bronić. Nimsen wpadł do wioski, gdy bitwa już trwała. Chwycił z synami za miecze i jął ciąć napastników. Ubili kilku, ale nie zdołali dotrzeć do domu na czas. Kiedy biegł za rannym Jeźdźcem, Stosen został ugodzony strzałą prosto w brzuch i wykrwawił się w ciągu paru minut. Nimsena i Ledgena zatrzymała grupa Jeźdźców podpalających właśnie dom sąsiadów. Nie mogli z nimi walczyć, bo było ich zbyt wielu, więc wycofali się do lasu. Gdy wreszcie wrócili, znaleźli dom we krwi i dwie ocalałe, przerażone dziewczynki. Nimsen do wieczora płakał, trzymając w ramionach ciało swojej ukochanej żony, a potem całą noc tulił troje dzieci ocalałych z koszmaru.

Chatka Antańka nie była schowana w gęstwinie – wręcz przeciwnie: stała dokładnie pośrodku polany. Gęstwina otaczała natomiast całą polanę, więc naturalnie nie dało się łatwo na nią trafić, zwłaszcza w nocy. Amber jednak pamiętała doskonale tę drogę, widziała też niezłe w ciemnościach. Prowadziła chłopca za rękę w milczeniu. Gdy wreszcie przedarli się przez zarośla, księżyc wisiał już wysoko na niebie. Chatka stała wśród wysokich traw, w oknie paliły się dwie świece. *Przybędzie zaraz świeczek* – pomyślała

przekonana, iż Nimsen zapalił je dla żony i syna. Robił to co wieczór od dnia ich śmierci. Kiedy go pytali, po co to robi, odpowiadał: „żeby nie zblądzieli, jeśli postanowią do nas wrócić”. Teraz ona sama czuła się, jakby wracała z zaświatów, tak wiele lat tu nie przychodziła.

Zbliżyli się do rzeźbionych drzwi i Amber pewnie zastukała. Po chwili ciszy odezwał się głos starca, tak dobrze znany i uwielbiany:

– Kogo bogowie przyprowadzili?

– To ja, Amber. – Więcej nie była w stanie wykrztusić, gdyż czuła wzbierające wzruszenie.

Rozległ się zgrzyt zamka i trzęsące dłonie nacisnęły klamkę. W półmroku ukazał się zgarbiony staruszek.

– Amber, moja mała Amber. Czy to naprawdę ty?

Wpadli sobie w ramiona. Nimsen nadal nie dowierzał:

– Czy to Ireth z Leathien? Nasza Amber?

Teraz w świetle pojawił się dobrze zbudowany mężczyzna o ciemnej karnacji i piwnych oczach. Uśmiechnął się szeroko.

– Witaj, Amber – powiedział spokojnie.

– Witaj, Ledgenie – odparła.

– Ktooo to? Co się dzieeeje? – W pokoiku pojawił się zaspany chłopiec.

– Ty jesteś pewnie Pitek – zauważyła Amber. – Zobacz, kogo ci przyprowadziłam.

Zza jej pleców wysunął się blady i zmęczony Roni. Pitek od razu się rozbudził, zobaczywszy brata, i ucieszył się z jego przybycia. Obiecał, że jutro pokaże mu małe sarenki i pozwoli dotknąć swego nowego łuku.

Nimsenowi i Ledgenowi twarze stężały w oczekiwaniu. Amber spojrzała na nich poważnie i wyszeptwała:

– Musimy porozmawiać.

Rozmawiali całą noc, przyciszonymi głosami, żeby nie obudzić chłopców śpiących w pokoiku obok. Mężczyźni słuchali uważnie słów Amber, a twarze ich były surowe i pięści same się im ścisnęły. Walczyły w ich duszach chęć zemsty i przemożna rozpacz.

Tuż przed świtem wstali od stołu i zapalili w oknie dodatkowe trzy świece – dla Tonii, jej męża i ich córeczki.



Śniadanie, na które Nimsen i Ledgen podali chleb z miodem, wszyscy jedli w milczeniu. Roni przeżuwał powoli, raz po raz zerkając na Amber. Na jego umytej buzi wyraźniej było widać rysy Tonii, chłopiec był do matki bardzo podobny. Amber kochała Tonię jak siostrę, ale odkąd wróciła do Leathien, nieczęsto ją widywała. Nie pojawiła się na jej ślubie, nie знаła jej dzieci. Źle się z tym czuła. Miała wyrzuty sumienia, że zaniedbała tych, których kochała, a teraz już tego nie nadrobi. Myśląc jak elf, zapominała, że życie ludzkie jest o wiele krótsze i kruchsze niż jej. W takich chwilach pamięć boleśnie dawała jej znać, że już za późno.

Po śniadaniu chłopcy pobiegli na łąkę, a Amber i Nimsen usiedli przed chatką. Mieli sobie wiele do powiedzenia.

– Cieszę się, że do nas przyjechałaś, moja isquierko – zaczął Nimsen. – Dobrze, że zdążyłem cię ujrzeć przed śmiercią.

– Nimsenie, przecież masz się jeszcze całkiem dobrze.

– Amber, moja Amber. Stary jestem, życiem sponiewierany, czas mi będzie wkrótce odejść.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Nie zgadzam się.

– Amber. – Starzec się uśmiechnął. – Czy za każdym razem, gdy się widzimy, muszę ci to tłumaczyć? Miałem dobre życie, pełne

miłości i ciepła, pełne tkliwości i uczuć, nie jestem pusty jak niektórzy z nas. Bogowie dali mi więcej, niż mogłem żądać.

Na chwilę zamilkł.

– Poza tym ostatnio coraz częściej myślę o Lindzie. Sądzę, że mnie przyzywa.

– Jedź ze mną do Leathien. Wszyscy jedźcie. Chłopcy będą tam bezpieczni, a elfy na pewno was przyjmą z godnością.

– Nie wątpię, dziecko drogie, ale nie tam jest nasze miejsce. Chłopcy muszą się uczyć życia wśród swoich.

– Już się trochę nauczyli. Nie uważasz, że na razie im starczy? Poza tym ja nie uczyłam się życia wśród swoich i jakoś na złe mi to nie wyszło.

– Nie obrażaj się, isquierko. Dumny jestem z ciebie, i to nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale pozwól mi umrzeć w tej chatce, w otoczeniu wnuków.

– Ivardczycy w końcu i tę chatkę znajdą. Sentymentalny się zrobiłeś i kłiwy, ale tutaj wyrzną was prędzej czy później.

– Może nie, isquierko, może nie.

Po chwili dodał:

– Przeznaczone ci było tu przybyć, przeznaczone jest mi tu zostać.

Zrozumiała jako elf. Jako człowiek poczuła rozdzierającą rozpacz.



Wczesnym popołudniem znalazła sobie zacienione miejsce na polanie i położyła się wśród traw. Oddychała głęboko, chłonąc ciepło i zapach dojrzałych źdźbeł. Myślała o tym, co ją spotkało od wyjazdu z Teadwen. O tym, co wydarzyło się wcześniej, bała się rozmyślać. Poczowała wszechogarniające zmęczenie. Zasnęła.

Leży w błękitnej atlasowej pościeli. Zrelaksowana, spokojna. Nakręca sobie na palec kosmyk włosów. Skąd ta beztroska? Do pokoju wchodzi czarnowłosa mężczyzna. Jego ciemnobrązowe oczy wpatrują się w nią zachłannie. Ubrany jest tylko w jasną koszulę. Podchodzi. Amber czuje jego zapach, jakby drzewa sandałowego. Tak wyraźnie. Mężczyzna siada na łóżku. Amber nachyla się ku niemu i rozpina jego koszulę. Ma umięśniony tors z poprzeczną blizną ciągnącą się aż po lewą pierś. Patrzy mu w oczy. Tonie w nich. Istnieją tylko one. I dotyk. Jego dotyk szorstkich, gorących dłoni. Przechodzi ją dreszcz. Mężczyzna ujmuje jej twarz w dłonie. „Chodź do mnie” – szepcze. Całuje ją. Ma ciepłe, wilgotne usta. Amber się w nich zatracca. Pocałunki stają się pewniejsze, namiętne, szalone...

Otworzyła szeroko oczy i gwałtownie usiadła. Miała przyspieszony oddech, rumieńce na policzkach. *Cholera, jasna cholera* – skomentowała.

– Kto to jest Orfen? – zapytał głos zza jej pleców.

Odwróciła się natychmiast. Stał nad nią Ledgen. Nadal była na ukwieconej łące, tylko słońce się trochę obniżyło. Kręciło jej się w głowie. *Co za cholerny sen* – skomentowała znów w myślach.

– Kto to jest Orfen, siostrzyczko?

– Nikt ważny.

– Mówiłaś jego imię we śnie.

– Tak? Hm. To poległy Ivardczyk.

– Zabiłaś go?

Zmarszczyła czoło.

– Tak jakby... A ty co tu robisz?

– Wiedziałem, że przyjdiesz w to miejsce. Chciałem porozmawiać na osobności.

– Porozmawiajmy więc.

Przyjrzała mu się teraz lepiej. W świetle dziennym dostrzegła gdzieś siwe włosy na jego głowie. Nie był stary, a jednak życie ciągle dodawało mu trosk. Był typem samotnika. Zawsze stał na uboczu. Jako jedyny ocalały syn dla samotnego ojca i jedyny brat dla siostr szybko dojrzał. Miał smutne, ale poważne spojrzenie. Patrzył teraz na Amber z troską i uczuciem.

– Wiem, że ojciec się nie zgodził iść z tobą. Wiesz dlaczego?

– Wiem. To jego wybór, Led.

– Ale ja już nie wytrzymam. Nie mogę tu zostać. Nie po tym wszystkim. Czuję, że muszę działać, że dość już tu czasu zmarnowałem.

– Na to, żeby dać się zabić, czas i sposobność zawsze się znajdują. Pomyśl o dzieciach Tonii. Trzeba je wychować. A ojciec chce to zrobić tu.

Ledgen chwilę milczał, odwrócony i wpatrzony w dal, po czym powiedział pewnie:

– Pojadę do Teadwen. Tam podobno zbiera się wojsko. Pójdziemy na Ivard. Zrobimy z nim wreszcie porządek.

– Do Teadwen? Porządek? – Amber zerwała się z ziemi. – Czy ty myślisz, że marna garstka ludzików zdoła pokonać potęgę Ivardu? Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz? Tak, Ledgenie, będzie wojna. Trup będzie się słał gęsto, krew spłynie wszystkimi rzekami. Ale to nie jest jeszcze ten czas. Teraz jesteś potrzebny rodzinie. Czy za mało krwi już przelaliście?

Ostatnie słowa prawie wykrzyczała. Gniew wywołany dziwnym snem znalazł ujście. Zbudził się w niej odwieczny sprzeciw elfów. Śmierć odbiera nie tylko życie jednej istocie – odbiera część życia tym, którzy zostają. Elfy już dawno to pojęły i zamiast zabijać się po kawałku, wołały pertraktować. Czasem latami. Były przeciwne wojnom, traktowały je jako ostateczność. Choć miały

niepomiarne długie życie, ceniły każdą jego formę w innych istotach. Amber, wychowana przez ludzi, poznała liczne aspekty ludzkiego życia i ceniła je wyjątkowo. A jednak teraz, podczas rozmowy z Ledgenem, odniosła wrażenie, jakby on sam swego życia nie szanował. I miała dziwne przeczucie, że tu wcale nie chodziło ani o Ivard, ani o wojnę.

– O co tak naprawdę ci chodzi, Led?

Spojrzał jej prosto w oczy, a spojrzenie miał jeszcze smutniejsze niż zazwyczaj. W końcu przemówił:

– Chcesz, żebym został z ojcem i chłopcami?

– Tak, proszę cię o to, skoro nie mogę ich zabrać do Leathien – odparła już łagodnie.

– A ty zostaniesz w Leathien?

– Nie wiem.

– Będziesz tam bezpieczna. Spłaciłaś już swój dług wobec ludzi, Ireth.

– A ja czuję, że to dopiero początek. – Uśmiechnęła się gorzko.

Wzięła ją za rękę i głęboko westchnęła.

– Masz bardzo delikatne dłonie. Nieprzeznaczone do miecza. Ale sama sobie wybierasz los. Ja też tego pragnę. Prosisz mnie, więc to zrobię. Zaopiekuję się ojcem i synami Tonii, ale gdy przyjdzie czas, stanę z tobą ramię w ramię do walki z wrogami, bo wiem, że i ty wtedy chwycisz za miecz.

– Masz rację, Led. Chwycę.

Przytulił ją mocno.

– Dziękuję – wyszeptwała.

– To ja ci dziękuję. – Ukradkiem pocałował kosmyk jej włosów.

Długo stali objęci. Wreszcie Amber przerwała ciszę:

– Robi się ciemno. Wracajmy.

Poszła przodem. Ledgen stał jeszcze chwilę i patrzył, jak odchodzi.

– Bez ciebie zawsze jest ciemno – powiedział do siebie i ruszył przez trawy do chaty.



– Wiesz, nie wiedziałem, że jesteś moją ciotką, jak szukałaś dziadka.

– Chyba trochę się mnie przestraszyłeś, co?

Chłopiec kiwnął potakująco głową, po czym wziął kolejny kęs bułki i się uśmiechnął. Amber przypatrywała się jego piegowatej buzi i w jego oczach wciąż widziała TONIĘ. *Kiedyś będzie się strasznie mścił za te śmierci sprzed tygodnia* – przyszło jej do głowy.

Siedzieli na mostku przy stawie, skąd można było skakać do wody lub zarzucać wędkę, co kto wołał. Oni wczesnym rankiem wybrali się na ryby. Nie dobudzili Pitka, który tylko niejasno mamrotał przez sen coś o łukach i strzałach, więc poszli we dwoje. Roni nie mógł się doczekać, aż nieznana mu dotąd ciotka nauczy go łowić w stawie, w którym nie udało mu się utopić ani jednej żaby, czego do tej pory nie potrafił wytłumaczyć. Było na tyle wcześnie, że cięły jeszcze komary i nocna mgła nie zdążyła opaść. Elfy z Leathien zwykły mówić, że z takiej mgły wychodziły przed wschodem słońca dusze przodków, by natchnąć mądrością tych, którym potrzeba było porady i wsparcia. Amber mimowolnie wpatrywała się w mleczną poświatę. Denerwowało ją, że przez nią nie widzi – niedalekiego co prawda, ale jednak – przeciwnego brzegu. Denerwowały ją też żarłoczne komary, najwyraźniej spieszące się z jedzeniem przed wschodem słońca.

Mały kończył jeść bułkę i nieustannie majtał w powietrzu nogami. Nagle gwałtownie podskoczył i rozdziawił buzię. Amber mogła przysiąc, że usłyszała plusk wody powstały wskutek panicznej ucieczki całkiem sporej ryby.

– Jejku! – zawołał Roni. – Ale ty masz uszy! Spiczaste!

Patrzyła na niego z nie mniejszym zdziwieniem. Chłopczyk widocznie nigdy wcześniej nie miał okazji widzieć elfa, a że od przyjazdu nosiła rozpuszczone włosy i dopiero dziś o świcie je związała, dziwne zjawisko pozostało dla niego tajemnicą aż do teraz.

– Mogę dotknąć?

Zawahała się. Siedmiolatek nie czuł żadnego zażenowania i nie czekając na pozwolenie, dotknął z namaszczeniem prawego ucha elfki.

– Jejku! Jejku! – powtórzył kilkakrotnie i uśmiechnął się uśmiechem Tonii. – Ja też chcę takie uszy!

– A co za różnica, jakie kto ma uszy? Ważne, ile nimi słyszysz. A jeszcze ważniejsze jest to, co mówisz.

Mały zamilkł, najwyraźniej kontemplując dopiero co wypowiedziane słowa mądrości.

– Nie obraziłaś się, prawda? Bo wiesz, jak raz do dziadka przyszedł taki pan krasnolud, to go złapałem za brodę i on się bardzo zezłościł. O, i powiedział, że rodzice muszą mnie jeszcze wychować...

Gwałtownie zamilkł. Wiatr przyniósł im zapach wody i suchych traw. Mgła powoli się przeredzała, od czasu do czasu odkrywając już przeciwległy brzeg. Nagle chłopiec przestał machać nogami i powiedział zmienionym głosem:

– Ale ja już nie mam rodziców.

Amber przysięgłaby, że choć żadnych duchów przodków nie dojrzała, to mały wstał jakby doroslejszy. Patrzyła mu teraz prosto w oczy, smutne, ale mądre.

– Każdy ma brzemię, które dźwiga w życiu – rzekła. – Czyni cię albo dobrym, albo złym człowiekiem, elfem czy krasnoludem. Los lub, jak niektórzy wolą myśleć, bogowie nam to brzemię zsyłają, ale to od ciebie zależy, tylko od ciebie, Roni, w jaki sposób to brzemię uniesiesz. A co do uszu... – Uśmiechnęła się. – ...to przyglądaj się moim, ile chcesz, ale gdybyś kiedyś jeszcze spotkał elfa, nie ciągnij go za małżowinę, bo to bez względu na spiczastość przyjemne nie jest.

Roni uśmiechnął się szeroko, demonstrując brak przedniego zęba.

– Echeś – potwierdził. – Raz mnie dziadunio za ucho z kurnika wyciągnął, bom kurkom jajka podkradł i żem rzucił nimi z kolegami w pana Rugbeya. – Zaczerwienił się.

– Urwis z ciebie, Roni.

– Ale już nie będę! Ucho mnie piekło przez trzy dni.

Znów zamilkli. Mgła już się podniosła, a na przeciwnym brzegu łąka dopiero budziła się do życia. Wstawało blade słońce. Chłopiec wrócił do majtania nogami.

– Nie jesz swojej bułki? – zapytał, wskazując na nietknięte śniadanie elfki.

Nie miała ochoty na jedzenie. Przychodziły takie mgliste poranki, kiedy wstawanie przed świtem przynosiło jej ulgę, bo była pewna, że nic jej się już nie przyśni. Zdarzały jej się ostatnio nieprzespane noce, pełne wirujących myśli. Nigdy nie miała apetytu, kiedy rankiem wstawała jeszcze bardziej zmęczona, niż się kładła poprzedniego dnia. Szare świty niosły tyleż uwolnienia, co przykrości. Ale cóż, każdy ma swoje brzemię... Bez słowa podała chłopcu swoją bułkę i wstała.

– Chodź, nic dziś chyba nie złowimy. Ale nie wrócimy z pustymi rękami. Widziałam w lesie pierwsze grzyby.

Zwinęli wędki i poszli w las. Roni w jednej ręce trzymał smakowitą bułkę, a drugą ścisnął bezpieczną dłoń cioci ze spiczastymi uszami.



Dzień był ciepły, ale niebo – zachmurzone. Nimsen ocenił jednak, iż padać nie będzie, a przynajmniej nie powinno. Amber było wszystko jedno. Znów nie przespała pół nocy, więc na śniadanie tylko z grzeczności zjadła kawałek sera. Ledgen obserwował uważnie, ale w milczeniu, z jaką trudnością przeżuwała kolejne kęsy. Nimsen zerkał na nich raz po raz, wycierając jednocześnie dzbanek po mleku.

– Jeśli już skończyłaś, isquierko – odezwał się – to chciałbym ci coś pokazać.

Wstała od stołu z wyraźną ulgą i wyszła przed chatę.

– Mam takiego przyjaciela – zaczął – który nigdy mnie nie zawiodł. Nie jest to żadna istota tak zwana rozumna, ale były chwile, że nie zamieniłbym go na innego. Masz przed sobą drogę do Leathien, możesz go potrzebować, więc chcę, byście podróżowali razem.

Zaraz po tych słowach gwizdnął i wyciągnął rękę do przodu. Najpierw nic się nie działo, a potem znikąd nadleciał ptak. Pióra lśniły mu jakby od porannej rosy podkreślającej ich kolor jasnej kory. Zatoczył nad ich głowami koło i niemal bezszelestnie wylądował na wyciągniętej ręce Nimsena, po czym zamarł jakby w oczekiwaniu na instrukcje. Teraz Amber mogła mu się przyrzec. Miał niezwykle proporcjonalne, drobne ciało zwieńczone małą główką na ruchliwej szyi. Oddychał wypiętą piersią. Ostro zakończonymi szponami oplótł nadgarstek Nimsena. Był esencją godności i grozy.

– Sokół wędrowny – przedstawił go starzec. – Ma na imię Lest. Jest twój.

Amber ciągle jeszcze podziwiała stworzenie.

– Nimsenie, to jest sokół z rodziny Lath, sokołów południowych. Skąd go masz? Takie ptaki to rzadkość.

– Nasza historia jest pogmatwana i w gruncie rzeczy sprowadza się do tego, że niejaki mocno pijany rycerz założył się z już mocno pijanym tu opowiadającym, że tenże go nie przepije. Rzecz się działa w karczmie Pod Oberwanym Guzikiem, tej, co z niej niejeden już wyleciał, i to z oberwanym nie tylko guzikiem, a ja jeszcze był w miarę krzepki. Założyliśmy się o tego sokoła, a ponieważ wypilem więcej, nie lądując pod stołem, przynajmniej nie od razu, zwierzę zmieniło właściciela. – Uśmiechnął się do własnych wspomnień. – Ale że zakład na dwa dni nas upodlił tak, żeśmy jeno na wodę patrzyli ze smakiem, imienia owego rycerza nie wymówię z grzeczności.

– Rozumiem.

– To mądry ptak, Amber. – Nimsen obniżył ramię. – Wystaw rękę. Ale pewnie, musi ci zaufać.

Wyciągnęła przed siebie rękę, a ptak zgrabnie zsunął się na nią i zaczął jej się przypatrywać z ciekawością, przekręcając łebek.

– Miałem go dziesięć lat i nigdy mnie nie zawiódł. Ciebie też nie zawiedzie. Pamiętaj tylko, by czasem dać mu trochę wolności. To szlachetne zwierzę. Nie będzie twoim służącym, może być jedynie przyjacielem.

– Zapamiętam – obiecała, wciąż podziwiając Lesta. – Dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Pozegnania bywają trudne dla tych, którzy czują, że są między nimi niewypowiedziane słowa. Dla Amber i jej ludzkiej rodziny była to kolejna stronica ich księgi. Wiedzieli, co do nich należy, czuli,

że przynajmniej niektórzy z nich jeszcze się zobaczą. Mieli pewność, że będą o sobie nieustannie myśleć, i głęboko wierzyli, że rzeczy, które mają się stać, staną się. Amber wyściskała chłopców, nakazując im słuchać dziadka i wujka, po czym mocno przytuliła Nimsena. Ich długie siwe i blond włosy przeplotły się na chwilę. Starzec miał w oczach łzy, których nie pokazał nikomu. Wtedy nadszedł Ledgen, prowadząc karego wałacha.

– To koń ivardzki. Jego jeździec nie miał szczęścia w wiosce, jako niestety jeden z nielicznych. Ale zawiezie cię tam, dokąd zmierzasz. Trochę jest narowisty, lecz dasz sobie z nim radę.

– Dziękuję, Led. Za wszystko.

Nie patrzył na nią.

– Jedź, póki nie pada.

Pocałowała go w policzek, a następnie wskoczyła zwinnie na konia i odjechała. Odwróciła się tylko raz, napotykając jego smutne spojrzenie, po czym dała koniowi znak do kłusa i zagłębiła się w las.

Droga do domu

Poranek był mglisty. Szumiący w nocy w koronach drzew wiatr przyniósł wyraźną zmianę pogody.

Amber obudziła się z poczuciem chłodu. Całą noc spędziła na zewnątrz, a poranna rosa zwilżyła jej ubrania i trawę dookoła. Nie spała dobrze, zasnęła dopiero przed świtaniem, więc nie mogła się czuć wyspana. Uniosła się i zakłęta. Była zeszywniała i obołała, a ponieważ spała w ten sposób już kolejną noc, miała prawo chociaż sobie zakląć. Wstała ociężale z wrażeniem, że jej głowa napęczniała całą rosą poranka. Podobnie pęcherz. Roztarła obolały policzek, który miał zdecydowanie zbyt długie i zbyt bliskie spotkanie z kamieniem pod cienką derką, i ziewnęła zupełnie nie po dworsku. Poszperała chwilę w skórzanym worku i wyciągnęła nieduży kawałek suszonego mięsa, a potem z niesmakiem go przeżuła. Marzyła o cieplej strawie, miękkim łóżku i towarzystwie – słowem: o karczmie. Gdy opuściła Antalkę, błogosławiła swoją samotność. Potrzebowała czasu na przemyślenia, snucie planów i kontemplowanie przyrody. Z czasem jednak zatęskniła za jakąś istotą, z którą można by porozmawiać choćby o pogodzie.

Z natury nie była zbyt towarzyska. Należała do elfów leśnych i gdyby nie dziwnie splątany los, wychowywałyby się w ukrytym

w lesie królestwie Leathien, pełnym magicznych istot i magii Dawnych Czasów. Ponieważ jednak trafiła tam dopiero po dziesięciu latach, świat elfów wydał jej się czymś tak nierzeczywistym, że do teraz czuła przemożną ciekawość, gdy się do niego zbliżała. Odczuwała też ludzką potrzebę dzielenia się wrażeniami, emocjami, co elfy z jej rodziny poczytywały za dziwactwo czy efekt uboczny przebywania z ludźmi. Jej odczucia często jednak się różniły od ludzkich, więc z czasem ograniczyła się do słuchania. Potakiwanie – dla niektórych może grzeczne – stanowiło w rzeczywistości dla Amber chłonięcie historii i doświadczeń innej rasy. Wyciągała z nich wnioski i wpisywała je do wielkiej pamięci dziejowej, którą elfy zostały obdarzone. Gdy się bowiem rodzi elfiątko, w dziesiątym dniu jego życia zanosi się je pod drzewo Uk, poprzez które bogowie zsyłają na noworodka dary mądrości i pamięci. Małe elfy nie muszą pytać o nic rodziców – one po prostu wiedzą. I obserwują. Znają też dzieje świata od pojawienia się elfów, choć same osobiście ich nie przeżyły.

Dlatego Amber czuła się w lesie wybornie. Mijane drzewa niemal opowiadały jej swoje historie, przebiegające pod stopami zwierzątka dzieliły się swymi troskami, a wypalona trawa krzyczała wspomnieniem niedawnej potyczki i przelewu ludzkiej, elfickiej czy krasnoludzkiej krwi. Las też się bał. Nawet jeśli Amber nie wszystko zawsze rozumiała – w końcu była jeszcze młodym elfem – czuła to swoim jestestwem.

Tego poranka miała niejasne przekonanie o czymś nienaturalnym, jakieś przeczucie nadciągającego zła i strachu. Jeszcze raz się rozejrzała, wstała i rozprostowując kości, spojrzała w górę. Niebo było zasnuwane cienkimi chmurami, w których niechybnie czaił się deszcz. Gwizdnęła raz i drugi i po chwili odpowiedział jej podobny gwizd. Prawie rozdzierając chmury, pojawił się na niebie ptak.

Pióra w świetle przytłumionego poranka były lśniące, lecz nienaturalnie ciemne. Sokół okrążył pobliską polanę dwukrotnie, nim miękko wylądował na wyciągniętym przedramieniu elfki.

– Witaj, Lest. Jak się masz? Zjadłeś śniadanie?

Ptak przekreślił ciekawie główkę, wsłuchując się w każde słowo, po czym wyprężył dumnie pierś, jakby na dowód udanych łowów.

– No to przynajmniej ty się najadłeś – skomentowała z przekąsem i pogłaskała ptaka po łebku, czego najwyraźniej nie lubił lub dotąd nie znał, bo od razu się otrząsnął.

Amber ostrożnie zestawiała Lesta na trawę i podeszła do ivardzkiego wałacha, na którego grzbiecie przyszło jej pokonywać drogę. Choć Ledgen ostrzegł, że koń jest narowisty, to wierzchowiec przez pierwsze trzy dni podróży nie dał tego po sobie poznać. Czwartego dnia jednak pokazał się w całej krasie.

Dzień był bardzo ciepły, nawet jak na wiosnę, lecz wyruszyli dopiero około południa, gdy słońce stało już wysoko, bo Amber musiała znaleźć sposób na przytroczenie do siodła worka z zapasem jedzenia, gdyż rzemień go trzymający właśnie z samego rana postanowił się urwać. Związanie mocno już zużytego rzemienia i zabezpieczenie zapasów przed rozsypaniem zajęło Amber całe przedpołudnie. Była zła na siebie, że nie sprawdziła tak banalnej, a jakże ważnej w podróży rzeczy. Kiedy wsiadła wreszcie na konia, odkryła z rozdrażnieniem, że panuje wiosenny upał, a jej ciepłe, skórzane spodnie i wełniany sweter nie dawały o tym zapomnieć. Tym bardziej pragnęła ruszyć w drogę i wjechać w gęsty, chłodny bór. Nie pędziła jednak konia, by się nie zgrzał.

Po godzinie wyjechali na polankę pełną ziół i polnych kwiatów. Pachniało przede wszystkim fiołkami, a ich słodki zapach niósł się z delikatnym wiatrem. Nad obudzoną z zimy łąką kłębiło się niezliczenie wiele owadów brzęczących na tysiąc sposobów. Amber

poczuła się rozluźniona. Niepowodzenia poranka przeminęły. Chłoneła tę sielankową atmosferę całą sobą. Iwardzki wałach najwyraźniej jednak inaczej pojmował sielankę. Otrzymał w końcu wodzę, rozejrzył się bojaźliwie na boki, jakby jakiś mały owad czy kwiatek miał zaraz przypuścić na niego atak. I stało się. Niespodziewanie z gąszczu młodej trawy wyłonił się motyl, kolorowy paż królowej, i zatańczył przed oczami rumaka. Na widok tego przerażającego drapieżnika wałach podskoczył, bryknął, po czym dziko pocwałował przed siebie, niemal zderzając się z drzewem rosnącym na skraju lasu. Zupełnie nieprzygotowana na taki zwód Amber wyskoczyła z siodła niczym z katapulty, mocno objając sobie tylną część ciała i klnąc na wszystko, co iwardzkie – ścierwa, konie i mężczyźni, a zwłaszcza tych ostatnich. Koń oczywiście nie zrozumiał z tego nic poza faktem, że zgrzeszył, ale ponieważ niebezpieczeństwo było śmiertelne, czuł się wyraźnie usprawiedliwiony. Kiedy kipiąca nienawiścią do iwardzkich ścierw, koni i mężczyźni elfka podeszła do niego, skubał już spokojnie trawę, nieświadomy obecności kolejnych wrogów fruujących nad łąką. Widocznie na polu bitwy, gdzie spędził zapewne dużo czasu, nie latały pazie królowej. Luźnej wodzy już jednak nie dostał.

Tego poranka osiodłała go sprawnie i choć nieco protestował i oglądał się do tyłu, przerzuciła mu worki z jedzeniem i wodą przez siodło. Pospiesznie rozgrzebała nogą wczorajsze ognisko i jednym susem wskoczyła na konia. Jechali w skupieniu. Mgła nieco się uniosła, ale świat był nadal bury i wilgotny. Sokół krążył nad nimi, bezszelestnie tnąc powietrze. Amber rozglądała się bacznie z niepokojem. W jednej chwili zaskrzeczał jakiś ptak i w oddali zatrzeszczało, a potem zadudniło wałące się drzewo. Gdzieś przed nimi w koronach nastąpiło zamieszanie. Niemal w tym samym momencie w szare niebo wzbił się czarny, gęsty dym.

Amber zaczęła pospiesznie szukać w pamięci tego miejsca. *Czy tam mieszkają ludzie? Czy palą wieś?* I nagle sobie przypomniała. Mała osada drwali Febste. Przejeżdżała tamtędy kiedyś. Kupiła tam pyszny twaróg u żony jednego z drwali. *Jeśli to Iwardczycy, to jadą prosto na mnie. Ilu? Ilu?* – myślała gorączkowo. – *Dam im radę?*

W końcu postanowiła objechać wieś łukiem i wjechać do niej od wschodu. Nadrobi drogi, ale przynajmniej nie będzie niepotrzebnie ryzykować życiem. Pognęła więc konia na wschód galopem. Wśród treli przerażonych ptaków i krzyków ludzi echo niesło szczęk zbroi. Metal uderzał o metal. Ktoś tam walczył. Niewiele myśląc, zawróciła konia i pojechała najkrótszą drogą w stronę Febste. Koń, jak na iwardzkie nasienie, spisał się całkiem nieźle, przeskakując z łatwością przez zmurszałe pnie, nie tracąc równowagi przy nagłym omijaniu drzewa i nie potykając się o wystające korzenie.

Zbliżali się do osady, bo hałas stawał się donioślejszy, a zapach dymu coraz bardziej drażnił nozdrza. Amber odruchowo sprawdziła, czy u boku nadal wisi jej miecz z Gór Czerwonych. Czekał tam, gotowy, by jej służyć. Jeszcze jeden skręt, jeszcze jeden pień i jednym susem wypadli na pole. Tłoczyli się tam ludzie. Duży, rośli mężczyźni o śniadych cerach i mocnych dłoniach walczący z rycerzami na koniach, iwardzkimi mężczyznami na iwardzkich koniach. Niektórzy walczyli z ziemi, prawdopodobnie zrzućeni z siopeł. Ale to pewnie nie przez motyle. Na ziemi leżało parę zmasakrowanych trupów z nienaturalnie powykręcanyimi rękami i krzykiem zastygłym na twarzach. Ofiary były po obu stronach.

Amber szybko oceniła szanse. Oddział rycerzy składał się z około dwudziestu zbrojnych. Najwyraźniej liczyli na brak oporu. Wyszarpnęła miecz z pochwy, przełożyła wodze do lewej dłoni i ruszyła w kurzawę. Rumak się rozpędził i z impetem wpadł na gnidosza, na którym siedział Iwardczyk. *Czy oni szkolą do tego konie?*

Oponent zupełnie się tego nie spodziewał, więc gruchnął ciężko na ziemię, gdzie po zgrabnym cięciu z góry elfickim mieczem zakończył swój żywot. Amber obróciła konia i powtórzyła tę sztuczkę, szarżując na następnego rycerza. Tamten padł jak długi, stratowany przez własnego uciekającego konia. Teraz ruszyła do przodu, gdzie wielki mężczyzna bronił się toporem przed ciosami z góry.

– Ty wieśniaku zapchlony! – krzyczał ten na koniu. – Jak śmiesz, łachmyto, na mnie się zanosić?!

Zamachnął się, ale drwał okazał się szybszy i znów uskoczył. Był zmęczony, z ramienia kapała mu krew. Amber wjechała między nich i natychmiast cięła. Cios był prędko, ale nie zwałił jeźdźca na ziemię.

– A to co? – skrzeczał. – Baba was musi bronić? Nie powinnaś siedzieć w kuchni?

– A ty w wychodku? Bo wyglądasz mi na zasranego tchórza! – odszczekała i znów uderzyła. Tym razem trafiła, wbijając miecz pod pachę, gdzie zbroja jest zawsze cieńsza. Rycerz się zamachnął, lecz z dużym wysiłkiem i wyraźnym bólem na twarzy. Amber to wykorzystała i cięła go w ten sam sposób z drugiej strony, sama uchylając się przed jego mieczem, który zresztą natychmiast wypadł mu z bezwładnej ręki.

– Teraz baba uwolni cię od nędznego żywota – wycodziła przez zęby i pchnęła mu miecz prosto w gardło tak głęboko, że aż wyszedł z tyłu czaszki.

Drwał stał tuż obok ze zdziwioną takim obrotem sprawy miną.

– Na co czekasz?! – krzyknęła. – Pomóż tamtym!

Wyszarpnęła ostrze i skierowała się w stronę dwóch rycerzy zdecydowanie bardziej niż walką zainteresowanych wdziękami jakiejś żony czy córki drwała. Próbowali na koniach zagonić dziewczynę, i tak już do połowy odartą z ubrań, w róg pobliskiej stodoły,

w celu aż nadto oczywistym. W Amber zawrzał gniew. Ofiary wojny, które potem pod sercem nosiły dzieci morderców swoich mężów i synów. Widziała takie nie raz, odkąd wojna się zaczęła. Te odważne starały się z całych sił kochać bękarty, a nocami szlochały ze strachu i bezsilności. Te kruche topiły się w rzekach lub wieszaly na skraju wsi. A może było odwrotnie...

Elfka wpadła na jednego z krzykiem i rąbnęła go z całych sił w czerep. Ponieważ zdążył już do uciechy zdjąć hełm, cios rozplątał mu czaszkę na półkulę prawą i lewą. Drugi, dostrzegłszy, co się święci, rzucił się do ucieczki, ale koń, tak nagle poderwany do galopu, poślizgnął się na błocie, bryknął i złapał równowagę już bez balastu. Rycerz pozbiierał się szybko, ale nie dość, by uniknąć mknącego ku niemu toporka zabranego przez Amber ochoczym wędrowcom z gór. Toporek wbił się centralnie w środek pleców i natychmiast zabarwił krwią. Wojak padł, umierając w konwulsjach.

Drwale, zobaczywszy skuteczną pomoc tajemniczej amazonki, rzucili się tym żarliwiej na napastników. Amber zawróciła konia i znów wpadła w tłum. Cięła rannego rycerza, który właśnie podnosił się z trudem, grzęznąc w błocie. Miał pokaźną ranę na prawej nodze. Trafiony ostrzem krzyknął przeraźliwie i natychmiast zamilkł. Elfka rozejrzała się dookoła. Ta niespodziewana bitwa przybierała coraz okrutniejszy obrót. Krew mieszała się z błotem, krzyki – z rzeniem koni i szczękiem metalu. Amber była brudna i zakrwawiona. Czula pot spływający po skroni. Iwardzki wałach, najwyraźniej zaprawiony w boju i zupełnie bez wyrzutów sumienia, że przeszedł na stronę wroga, przebierał nerwowo nogami i szarpał szyją. Zrobiło się parno i duszno. Nagle usłyszała w tym zgiełku głos nieznoszący sprzeciwu: „Odwrot!” . Rozejrzała się ponownie, sprawdzając, skąd pochodzi rozkaz. Wzniesiony kurz utrudniał widoczność. Podjechała bliżej wsi i nagle go zobaczyła.

Ciemne, długie włosy potężnego mężczyzny wystawały nieco spod ivardzkiego hełmu. Siedział pewnie na dużym, karym ogierze, który prychał z niecierpliwości oraz z nadmiaru dymu, gdyż stali bliżej niż inni płonących budynków. Kilku ocalałych, jeszcze zajadle walczących Ivardczyków skierowało konie w stronę lasu, wyraźnie szykując się do wypełnienia rozkazu.

Nie myśląc wiele, podjechała do najbliższej grupki drwali i krzyknęła z całych sił:

– Nie pozwólcie im uciec!

Pierwszy w szeregu, młody, jasnowłosy chłopak z zaciętą miną i groźnym spojrzeniem, od razu porozumiewawczo kiwnął głową i wskoczył na dopiero co zdobytego konia.

Amber zawróciła wałacha i ruszyła w stronę dowódcy. Stojący na tle płomieni skojarzył się jej z uosobieniem boga ognia, w którego wierzyły północne ludy, w tym elfy, choć się do tego nie przyznawały.

Matka opowiadała jej kiedyś, jak bóg ognia Ore zstępuje co pięćdziesiąt lat i ukazuje ludziom ich los. Jest malowany na tle dziko szalejących płomieni i każe za swoje przepowiednie płacić krwią najbliższych. Dzieci na północy znają historię pewnego rybaka, któremu w bezgwiezdną noc ukazał się Ore w płomieniach na środku jeziora i obiecał przepowiednię. Rybak, omamiony ciekawością, przystał na tę propozycję. Gdy jednak usłyszał, że w zamian za to musi mu podarować życie żony i córki, przeraził się okrutnie. Mimo to bardzo chciał się dowiedzieć, co czeka jego i jego pobratymców, a nader wszystko pragnął się wyróżnić, bo zawsze najbardziej podziwiał siebie – a za taką przepowiednię mogliby podziwiać go też inni. Bóg bez przeszkód odgadł jego myśli i wprowadził go w trans. Mężczyzna wędrował myślami przez różne światy i dzieje, które zrazu piękne stały się koszmarne. Najpierw

ujrzał obfite w trawy łąki pełne pasącego się bydła. Wokół tańczyli roześmiani ludzie i elfy. Nagle obraz się zamglił i gdy mgła opadła, jego oczom ukazały się potworne rzeczy. Widział tryskającą z ziemi krew, potem wodospad krwi, słyszał krzyki w niezrozumiałych dla siebie językach, lament i rozpacz. Hałas narastał, a gdy stał się nie do zniesienia, rybak krzyknął: „Dość!”. Wtedy się ocknął i zobaczył, że jego łódź, oświetlona wschodzącym słońcem, dryfuje po morzu krwi. Przerażony zamknął oczy, a gdy je otworzył, okazało się, że to zupełnie zwyczajne jezioro. Powiosłował do brzegu z pewnym poczuciem ulgi, lecz gdy zbliżał się do chaty, ogarnął go lęk. Uchylił drzwi i zobaczył to, czego się obawiał. Na podłodze leżały martwe jego żona i córka. Na twarzach miały zastygły strach. Rybak rozpaczał i żałował, przez miesiąc nie wychodząc z domu. Potem zapakował do tobołka parę suszonych ryb, kawałek sera i bochenek chleba, wziął podróżny kij i wyruszył w drogę. Wędrował od wioski do wioski, ogłaszając bliską wojnę, którą poprzedzą urodzaj i dobrobyt. Działo się to w Dawnych Czasach, a wizja, którą ujrzał, przedstawiała Wojnę Stu, kiedy to sto różnych królestw zaczęło ze sobą walczyć, niosąc ból i zniszczenie. Mężczyzna stał się prorokiem, ale za ten dar okrutnej wiedzy zapłacił śmiercią najbliższych i samotnością. Bóg Ore uważa, że aby coś zyskać, trzeba coś stracić. I tak co pięćdziesiąt lat.

Niektórzy prymitywni ludzie tak się boją wiedzy i boga Ore, że z uporem wykazują wstrzeźliwość od czytania, żeby nie dać bogu nawet najmniejszej szansy na przemycenie proroctwa. *Tak to nastąpiły ciężkie czasy nawet dla bogów* – śmiała się nieraz Amber, gdy sobie przypominała tę opowieść.

Teraz jednak miała przed sobą z całą pewnością nie boga Ore, lecz ivardzkiego dowódcę, który już ją zauważył i wyciągnął miecz. Jego ludzie byli tak szybcy w odwrocie, zwłaszcza gonieni przez

grupę rozwścieczonych drwali, że odjechali już za daleko, by przyjść mu z pomocą. Elfka machnęła mieczem nad głową i zagalopowała. Uderzyła, ale jeździec z łatwością usunął się przed ciosem, sam zadając swój błyskawicznie. Odparła atak i zawróciła konia w stronę dowódcy.

– Czy naprawdę warto tracić życie dla jakichś tam drwali? – zapytał. – Taka ładna dziewczyna nie powinna tak młodo ginąć.

– Nie sądzę, że jest mi dane dziś zginąć – wycodziła Amber i przypomniał jej się bóg Ore.

– Zabiłaś kilku moich ludzi. Walczysz nieźle. Ale czy to wystarczy?

– Walcz ze mną, to się przekonamy.

Uniosła oręż i rąbnęła niespodziewanie w środek hełmu. Rycerz się zachwiał, ale z konia nie spadł. Przełożył miecz do lewej dłoni i rzucił się na nią serią uderzeń. Elfka odpierała jego ciosy, ale był to trudny przeciwnik. Zamachnęła się, żeby ciąć go z boku, a wtedy niespodziewanie spadło na jej ramię iwardzkie ostrze. Poczowała rozdzierający ból, ciepło spływające po rękawie i zrobiło jej się niedobrze. Rycerz zamachnął się ponownie. Amber się obroniła, ale siła uderzenia wyrzuciła ją z siodła. Spadła z łoskotem na błoto, nie wypuszczając broni z broczącej krwią ręki. Niebo przecięła błyskawica i lunął rześisty deszcz. Amber znów pomyślała o bogu Ore.

– Dość tej zabawy, czas kończyć! – krzyknął Iwardczyk i się zamachnął.

W elfce zawrzał gniew. Ramię krwawiło coraz bardziej. Szybko obliczyła w myślach odległość i zwinnym ruchem uskoczyła w bok, wbijając miecz prosto w pierś karego ogiera. Koń zarżał, upadł i zaczął się miotać w przerażeniu. Rycerz przewrócił się razem ze zwierzęciem, które spanikowane przygniotło mu ciałem nogę.

Na widok zbliżającej się wojowniczkę usiłował desperacko się uwolnić spod ciężaru, a zdychający, ryjący nogami w błocie koń nie ułatwiał mu tego. Amber czuła strugi wody na całym ciele, nie odróżniała już, czy z ręki kapie jej woda, czy krew. Czuła też, że słabnie. Elfy nie były nieśmiertelne, jeśli ktoś je ugodził. Ich wieczne życie stawało się wtedy tak samo kruche jak ludzkie czy należące do innej istoty na świecie. Zbliżyła się do rycerza powoli. Koń przestał się ruszać, zamartłszy w kałuży krwi. Bezskutecznie próbujący się uwolnić mężczyzna patrzył na nią przez dziurę w hełmie. Miał błoto w swych długich włosach. Amber przyglądała mu się chwilę. Deszcz chłostał ją po twarzy. Uniosła miecz, ale natychmiast go opuściła. Wtedy nadbiegli drwale wracający z pogoni w lesie.

– Dobić go, dobić skurwysyna! – krzyczeli jeden przez drugiego, machając toporami nad głową leżącego.

– Nie! – krzyknęła elfka i upadła.

Jasnowłosa drwał podbiegł do niej i chwycił w ramiona.

– Pani, to łotr!

– Nie zabijajcie go – szepnęła. – On jest nam potrzebny. Przesłuchamy go.

– Zgoda. Wyciągnijcie go spod tego truchła i zwińcie! – zakrzyknął do reszty. – Pani, jesteś ranna.

– Co z innymi Iwardczykami? – zapytała.

– Martwi.

– Wszyscy?

– Żaden nie umknął, bośmy ich jeszcze przed lasem dorwali.

– To dobrze, to bardzo dobrze.

Dookoła słycać było syczenie gaszonych przez deszcz belek. Gdzieś w oddali uderzył grzmot. Ale Amber nie pomyślała tym razem o bogu Ore. Osunęła się na kolana klęczącego przy niej drwala i pogrzyżyła w ciemności.

 **SPIS TREŚCI** 

Rozdział I. Antańka 5
Rozdział II. Droga do domu..... 31



Kamila Goszczyńska – urodziła się 29 kwietnia 1980 roku w Łodzi. Ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Łódzkim w Katedrze Dramatu. Od lat zakochana w Szekspirze i Tolkienie. Z zawodu nauczycielka języka angielskiego i doula. Jest pasjonatką koni, astronomii i Afryki. Interesuje się światem i jego prawami. Mieszka na wsi, w której ceni sobie ciszę i kontakt z przyrodą. „Kwiat datury. Iskra” to jej debiutancka powieść.

**„Widziała kilka razy to, co po sobie zostawiali.
Zastygłe z przerażenia twarze, ciała straszące
kikutami po obciętych kończynach”.**

W zamieszkaney przez ludzi, elfy i krasnoludy Wereldzie panuje pozorny pokój. Dopiero wizja wieszczki Liserii uświadamia wszystkim, że na horyzoncie czai się wojna, a ich czujność zbyt długo pozostawała uśpiona. Młoda elfka zwana przez ludzi Amber odkrywa wraz z przyjaciółmi spisek, który ma na celu położyć kres istnieniu północnych krain. Nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że to dopiero początek. Z dnia na dzień coraz wyraźniej widzi, iż przeznaczenie wiedzie ją ku zaskakującym wydarzeniom.

Patronat medialny:



cena: 39,99 zł

